

Terapia kabaretowa

Zderzenie czołowe

Z OLGĄ LIPIŃSKĄ rozmawia Waclaw Krupiński

gotowała Pani Gwintu, co się dzieje" Fredry dla Teatru Telewizji — to o propos naszej sytuacji?

— Nie, chociaż są podejrzenia, że to z powodu pani premier Suchockiej, ale ja naprawdę zaczęłam pracować nad tą sztuką jeszcze w styczniu, kiedy o kobiecie-premierze nie było mowy, a Fredrze też przecież nie chodziło o rządy kobiece. On, jak wiadomo, chciał pokazać głupotę rządzących w małym miasteczku, rządy kobiet, w tamtym czasie tak absurdalne, uznał widać za najlepszy sposób...

— Czy sięgamy po Fredrę, by mówić o naszych problemach?

— Fredro jest potrzebny Polsce jak powietrze, piękny język, wspaniałe postacie i oddające charakter Polaków — warcholstwo, głupota... Lubię Fredrę i chętnie go reżyseruję.

— Bo też współczesnej dobrej komedii nie ma.

— To prawda. U nas nie wykształciła się tradycja komedii. Fredro, Bałucki, Mrozek i właściwie na tym koniec. Comedie Française jest teatrem ogólnie szanowanym, a komedia jakiego gatunek cieszy się u Francuzów najwyższym uznaniem. No, ale wiadomo, że Francuzi są niepoważni. Nam śmiech nie przystoi.

— Ale zarazem ostatnie 30 lat przyniosło rozkwit polskiego kabaretu, który stał się naszą specjalnością; pamięta Pani to określenie: „najwesołszy barak w naszym obozie”?

— Tak, ale teraz, mówiąc między nami, mnie śmiać się już nie chce. W czasach komunistycznych nie identyfikowaliśmy się z tym państwem, byli „oni” i „my”, i sytuacja była jasna. Nie mając na nic wpływu, mogliśmy się śmiać, kpić, próbując przy tym oszukać cenzurę. Śmiech to była mocna broń. A teraz? Nie ma „wielkiego brata”, rządzący się sami i to, co z tego wynika, jest dla mnie dramatyczne. Obecnie robię kabaret ze strachu, ze zdenerwowania, z rozpaczliwej niezgody na małość i głupotę naszych wczorajszych bohaterów.

— Dlatego tyle w nim wątków publicystycznych?

— Ktoś mi już powiedział, że moje kabarety są coraz bardziej smutną publicystyką. Ale tu już naprawdę nie można żartować. Ja przynajmniej nie mam nastroju do żartów. Mnie nie śmieje kretyn, wchodzący na trybunę sejmową i zgłaszający wniosek, od którego włos się jeży na głowie. Albo inny, który w telewizji przekonuje, że jesteśmy „w łapach humanistów” i że należy „zwalczać tolerancjonizm”. Nie potrafię tego lekceważyć i nie uspokajają mnie głosy, że to margines; jeżeli takie postawy dostaną odpowiednią pożywkę, to jest to zaraza nieprawdopodobna. A ja najbardziej na świecie boję się fanatyzmu — wiemy z historii, do czego prowadzi.

— Aż tak źle, myślę, nie jest. Ten Sejm potrafi również dostarczać powodów do śmiechu...

— O, tak. Wie pan, jak wyglądała próba generalna nowej aparatury do głosowania w Sejmie? Prowadzący próbę marszałek Sejmu tłumaczył, że po lewej stronie jest znak „minus” do głosowania na „nie”, po prawej „plus” — na „tak”, a w środku jest — jak powiedział — szczelina, do której wkłada się kartę identyfikacyjną. Na to wstał jeden z posłów mówiąc, że wyraz „szczelina” razi jego uczucia estetyczne. Ktoś inny zaproponował więc, żeby to się nazywało „szpara”, co z kolei innym posłom źle się kojarzyło. Ostatecznie zgodzono się na dziurę. Dyskusja trwała godzinami.

— Jest — tak śmiesznie, że trudno wygrać z rzeczywistością — jak przekornie mówi Pietrzak?

— Że kabaret przegrywa? Może... ale styk mentalności społeczeństwa wychowanego w socjalizmie ze swoimi pojętym kapitalizmem, który usiłujemy wprowadzić, to dia satyryka o-

gromne pole do popisu. Z tym, że nie jest to wesołe.

— Pani już wcześniej nie dzieliła w kabarecie rzeczywistości na „my” — „oni”, ale kpiła sobie z naszych wad. Teraz to jest jeszcze bardziej widoczne. Czym się za to płaci?

— Czasami niechęcią widzów, na szczęście mniejszości, co daje mi ostatnio podstawy do optymizmu. Zawsze interesowałam się człowiekiem i społeczne reperkusje działania władzy, nie sama władza. Ma pan rację, ja nie śmieję się tylko z władzy, ale i z nas, ze społeczeństwa — przecież ta władza jest naszą emanacją; myśmy sobie sami wybrali takiego prezydenta, taki parlament. I ten nasz chory egalitaryzm, ta swoiście pojmwana demokracja!

— „Zawsze byłam naprawiaczem świata. Wtrącałam się w swoje i nie swoje sprawy wierząc, że mogę coś zmienić” — wyznała Pani przed laty.

— I dalej w to wierzę. Teraz tym bardziej jestem przekonana, że dopóki można, trzeba tupać i nie zgadzać się na pewne rzeczy. I należy to robić tak, żeby ludzi poruszyć, podzielać na emocje, zdenerwować, wzruszyć, rozśmieszyć.

— „Urzędnicy Pana B.” — tą piosenką poruszyła Pani na pewno...

— Narobiła straszno, szumu, dostałam około tysiąca listów, różnych — z wymyślaniami też, większość jednak była za mną. I to jest optymistyczne. Przy odbiorze tej piosenki powstało nieporozumienie. Nie atakowała ona ani Boga, ani religii, ani nie obrażała wiary, były tam zastrzeżenia do... można powiedzieć, sposobu zarządzania sprawami duchowymi. Tak, irytuje mnie pacherność księży, obłuda.

Drażnią mnie interwencje hierarchów w środki przekazu.

— Jan Tadeusz Stanisławski odszedł z Pani kabaretu, dostarczając w nim elementy antyklerykalne...

— Mogę wyrazić tylko żal z tego powodu: cenię Janka i lubię, mnie jego poglądy nie przeszkadzają. Ale jeżeli jemu przeszkadzają moje i nie chce ze mną pracować — nic na to nie poradzę.

— Wspomnieliśmy już w tej rozmowie cenzurę; gdybym powiedział, że w kabarecie wywierała ona też pozytywny skutek, zmuszając do finezji...

— Niech pan tak nie mówil! Jeżeli ktoś nie miał poczucia formy, to mu cenzura na pewno nie pomagała. Sztuka wymaga formy. I dziś na trudne czasy dla kabaretu narzekają cię dla których jedyną formą było: stać na estradzie, mówić do mikrofonu teksty czasami bardzo mierne, przetykane różnymi aluzjami i mrugać do publiczności, że mówi się o sprawach ważnych, zakazanych. Dziś nie ma tematów zakazanych i nastęły rzeczywiście trudne czasy dla „mrugaczy i aluzjonistów” — stał u nich tęsknota za cenzurą. Ile cenzura zrobiła złego, przekonywać chyba pana nie muszę. Dziś z tych zakazów można się tylko pośmiać.

— Wtedy nie było śmiesznie...

— Nie. Żart o ruskich pierogach wyłączył mnie na kilka miesięcy z pracy, cenzor dostał nagane, redaktora odpowiedzialnego przeniesiono, na niższe stanowisko i tygodniami toczyło się jakieś absurdalne dochodzenie — „kto się za tymi ruskimi pierogami kryje” i „kto mnie inspirował do publicznego występowania przeciwko sojuszm”. Nikt się nie śmiał. Po wielu perypetyjach, z opresji wyciągnął kaba-

ret sam prezes Szczepański, który przeciął „śledztwo” krótkim stwierdzeniem: „Dajcie im spokój, to są tylko artyści, ci idioci nie wiedzą, na jakim świecie żyją”. Niezbyt może dla nas pochlebnie, ale skutecznie — kabaret wrócił na ekran, ale tak bardzo patrzono mi na ręce, że właściwie można było zrobić tylko gagi i tłuc różne przedmioty — każdy tekst wywoływał panikę i na wszelki wypadek skreślenie. Nawet o kurtyne, którą Turrecki ciągnął w górę, a ta spadała w dół, toczyła się zajadła walka. Wszystkie wskaźniki szły w górę, a ta przekłeta w dół! Coś w tym musiało być...

— Teraz na szczęście cenzury nie ma.

— Nie ma, mogę mówić i pisać, co chcę i do czego jestem przekonana. Nikt mnie nie kontroluje, nie muszę tłumaczyć, co przez to, czy tamto chciałam powiedzieć. Nikt mnie nawet nie ostrzega. Ale odpowiadam za wszystko sama. Oczywiście nie jest to przypadek, że zostałam zdjęta z etatu w telewizji (od maja jestem współpracownikiem), że zdjęty został program „Piosenki z Kabaretu Olgi Lipińskiej”, że nie wolno mi osobiście pokazywać się na ekranie. Cenzura nie ma, ale kierownictwu ma prawo nie podobać się moja działalność. „Sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało” — mogę powiedzieć o sobie. Tak jest, zostałam skarcona za moją „działalność artystyczną” i to jest w porządku, ale nikt mnie nie poucza, jak powinienem myśleć i co jest dla mnie dobre. Wolę taką sytuację.

— Ale jest jeszcze publiczność, którą też warto by zapytać o zdanie. Zdjęty przez kierownictwo program był lubiany i oczekiwany.

— Mnie też się zawsze wydawało, że najważniejsza jest publiczność, że sens naszej działal-

ności na tym polega. Jeśli istniejejmy sami dla siebie i ważne są tylko nasze wewnętrzne i zewnętrzne układy, to naprawdę wszystko jedno, co miga na ekranie. Wobec tego że podstawowe logiczne rozumowanie, iż każdy szef powinien szanować ludzi pracujących na sukces firmy, którą on kieruje, bierze w łeb, lekceważenie publiczności jest tego konsekwencją.

— Mówimy o smutnych sprawach, a przecież rozmawiamy o kabarecie.

— Wie pan, ja naprawdę lubię się śmiać, lubię najgłupsze żarty, z przyjemnością oglądam Benny Hilla i chciałabym robić wesoły, pogodny program w wesołym, zdrowym i bogatym kraju, bo bardzo lubię nasz kraj — nigdy nie myślałam o emigracji, ale nie mogę wytrzymać coraz bardziej demokratycznie panoszącej się głupoty.

— Nie nazbyt to proste glupotą tłumaczyć chamstwo, hucpę, arogancję, ksenofobię?

— A nie sądzi pan, że to właśnie bierze się z głupoty, z umysłowego lenistwa, z niechęci do otwartości myślenia, do sceptycyzmu, ze zbyt dobrego samopoczucia? Tak jesteśmy wspaniali, że już nic nie musimy — należy nas tylko podziwiać. Nie podziwiają? Więc się nimi — tymi wszystkimi nie-Polakami pogardza. Jesteśmy najlepsi. Nasz autorytet pracowicie budujemy właśnie na pogardzie dla innych.

— To skąd poczucie braku wiary, że będzie lepiej, skąd ta frustracja?

— Myślę, że z czołowego zdenerowania tej naszej wyjątkowości z rzeczywistością, z życiem codziennym. Jest nam źle, więc ktoś musi być temu winien i trzeba go koniecznie znaleźć i puścić w skarpetkach, nie przebieając w środkach. Jeśli takie myślenie potwierdza się okrągłą pieczęcią państwową — to mnie się jeżą włosy i naprawdę zaczynam się bać.

— Stąd nadmiar publicystyki w kabarecie?

— Nie ma pan pojęcia, jak chciałabym odejść od tej publicystyki i bawić publiczność do łez absurdalnymi żartami — niestety nie wymyślę lepszego skoczku od tego ze „szczeliną” w Sejmie. Tej konkurencji nie przeszkodzi.